

# Frank Raymond Leavis

---

## "Scrutiny" - spojrzenie wstecz

---

Pamiętnik Literacki : czasopismo kwartalne poświęcone historii i krytyce literatury polskiej 65/1, 213-240

---

1974

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

III. P R Z E K Ł A D Y  
R E T R O S P E K C J E

Pamiętnik Literacki LXV, 1974, z. 1

FRANK RAYMOND LEAVIS

„SCRUTINY” — SPOJRZENIE WSTECZ

Wydaje mi się zupełnie stosowne, że właśnie Cambridge University Press podejmuje przedruk „Scrutiny”, periodyk ten bowiem był z ducha dziełem Uniwersytetu Cambridge. Gdybyśmy w ten sposób chcieli dać do zrozumienia, że było to dzieło historyczne, wysunęlibyśmy roszczenie czy wypowiedzielibyśmy tezę w moim przekonaniu dość skromną, wzięwszy pod uwagę okazję i okoliczności. Nikt nie poświęciłby się w żadnym razie takiemu przedsięwzięciu (mam na myśli „Scrutiny”) i nie kontynuowałby go mimo wszelkie przeciwności przez lat dwadzieścia — bez wyraźnej koncepcji jego charakteru i bez silnego przekonania, że sprawa, której służy, jest ważna, a zatem osiągnięcie w niej jakiegoś liczącego się sukcesu może być nie bez znaczenia dla historii. Przy tym jednak nacisk położony na Cambridge jest niezbędny i nieprzesadny.

Tylko w Cambridge koncepcja „Scrutiny” mogła przyoblec się w kształty i zachować takie siły żywotne, że wzbudzała silną niechęć i wywierała wpływ. Był to (warto podkreślić) produkt i tryumfalne, szczytowe osiągnięcie anglistycznego bakalaureatu. Wypowiadając te prawdy, nie chcę wyrażać ani rozbudzać prymitywnego, zaściankowego patriotyzmu czy partykularnej solidarności. Powiniennem właściwie od razu dodać, że „Scrutiny” rozpoczęło działalność, utrwaliło swój byt i przetrwało nie-

---

[Frank Raymond Leavis (ur. w r. 1893, dr filologii) — przechodził kolejne stopnie uniwersyteckie w Downing College w Cambridge. Był współzałożycielem i wydawcą kwartalnika krytycznego „Scrutiny” (1932—1953). Publikacje: *Mass Civilisation and Minority Culture* (1930); *New Bearings in English Poetry* (o Hopkinsie, Eliocie i Poundzie, 1932); *Tradition and Development in English Poetry* (1936); *The Great Tradition: George Eliot, James and Conrad* (1948); *The Common Pursuit* (1952); *D. H. Lawrence, Novelist* (1955). Wiele publikował w prasie literackiej.

Przekład według wyd.: F. R. Leavis, „Scrutiny”: *A Retrospect*. Cambridge 1963. Pierwodruk znajduje się w t. XX „Scrutiny”, który wznowiony był w 1963 roku.]

zależnie od Cambridge. Uważam za swój obowiązek upierać się przy owej uwadze niewdzięcznej wobec tej uczelni. Jeżeli macie zamiar bronić Idei Uniwersytetu (co jest przedsięwzięciem nieodłącznym — my, założyciele „Scrutiny”, wiemy to dobrze — od obrony Idei Krytyki) i dla określonego celu, w tym momencie historii, realizować tę Ideę w konkretnej, żywej rzeczywistości, nie będzie wam trudno pojąć, w jaki sposób do wyrazu „akademicki” przyłgnęło pewne pejoratywne znaczenie, i zobaczycie, że nawet za cenę naruszenia zasad dobrego tonu będziecie musieli uczynić wszystko, co można, aby rozwiać złudzenia. Zobaczycie, że „duch akademicki” może się uśmiechać pobłaźliwie, a nawet poprzeć wasze wysiłki, ale pozostanie nadal tym, czym jest, i będzie w świecie akademickim waszym zawsze obecnym wrogiem.

My, założyciele „Scrutiny”, nie mogliśmy mieć złudzeń. Było to przedsięwzięcie banitów i uświadamiano nam to wyraźnie od początku do końca. Doktoranci i studenci, którzy na początku lat trzydziestych bywali w moim domu, będącym w dużej mierze ośrodkiem ruchu, nie przypuszczali wcale, że spotykają się w oficjalnym ośrodku „Cambridge English”, czy też w takim, który popierają oficjalne władze. Przyciągała ich tam sława miejsca, gdzie istota, doniosłość i możliwości anglistycznego bakalaureatu były szczególnym przedmiotem zainteresowania, gdzie wśród tradycyjnych zajęć etos Cambridge, który uczynił z niego uniwersytet przyszłości, nabierał rumieńców świadomego życia. Większość z nas przeszła kurs anglistycznego bakalaureatu, niektórzy z nas — w przedostatnim zdaniu powinienem był powiedzieć „w naszym domu” — byli (bez wynagrodzenia — na co trzeba zwrócić uwagę) wykładowcami tego kursu; doktoranci chcieli udowodnić, że na podstawie tematów ich prac można obronić koncepcję „badań” zgodną z duchem anglistycznego bakalaureatu. Książka [pióra Q. D. Leavis] *Fiction and the Reading Public*, której opublikowanie stało się wówczas wydarzeniem, wywierała silny i skuteczny wpływ na atmosferę intelektualną, tym silniejszy, że wszyscy wiedzieli, iż była to dysertacja w English School.

Takie środowisko sprzyjało dyskusjom nad stanem krytyki — dyskusjom żarliwym i nieakademickim. Pragnę zaznaczyć, że nie mieliśmy zamiaru ograniczać się do zagadnienia metod czy teorii i „stosowalności” „krytyki stosowanej”, chcieliśmy natomiast (uważając krytykę „stosowaną” za przeciwstawienie „teoretycznej”) uprawiać coś, co nie było tylko sprawą techniki analitycznej i popisów talentu. Absorbowała nas i wzbudzała niecierpliwość wielka, podstawowa i nadrzędna sprawa: funkcja krytyki i problem, czy jest ona spełniona czy też nie — wobec naszej cywilizacji, dla naszych czasów, dla nas. Dyskusje nasze były prawdopodobnie w tym stopniu naiwne, co w sposób inteligentny skupione na rzeczach podstawowych, i o tyle prowadzone w duchu rzetelnie prak-

tycznym i realistycznym, o ile jakiegokolwiek dyskusje bywały wówczas takie w środowiskach anglosaskich. Myślę, że nie przemawia przeze mnie zarozumiała czy nieskromna pewność siebie, czy w ogóle jakaś przesada: chcę tylko zwrócić uwagę na istotne znaczenie Cambridge dla sprawy będącej przedmiotem moich rozważań.

Bezpośrednie zaplecze stanowiła więc książka *Fiction and the Reading Public* wraz ze swą dokumentacją i analizą procesów, które postawiły naszą kulturę w rozpaczliwej sytuacji, będącej przedmiotem naszego niepokoju i bodźcem do działania. Refleksjom wzbudzonym przez to dzieło dodały zachęty recenzje, którym zostało poddane w pismach przeznaczonych dla warstwy wykształconej — „The New Statesman” (*Best-sellers Massacred*), w niedzielnych wydaniach gazet, itd. Nasze spostrzeżenia i wnioski co do współczesnego realizowania funkcji krytyki poprzez gruntowne recenzje zostały sformułowane w moim artykule *What's Wrong With Criticism?*, który ukazał się w drugim numerze „Scrutiny” (wrzesień 1932). Warto odnotować, że treść jego została zaczerpnięta z rozprawki napisanej na zaproszenie redaktora „The Criterion” ([T. S. Eliota], któremu, jak mi to powiedział, podobał się mój niedawny „pamflet o mniejszościach”, *Mass Civilization and Minority Culture*) dla *Criterion Miscellany*. Gdy już miał on mój maszynopis, w końcu (a wiele czasu upłynęło) dał mi do zrozumienia, że zdecydował się go nie publikować. Nie będę skromnie utrzymywał, że zapewne niedoskonałość mojej pracy sprawiła, iż pożałował swego zamówienia i wycofał je. W rzeczywistości bowiem znalazłem uzasadnienie — gruntujące się tym mocniej, im bardziej wyostrzała się moja uwaga oraz narastała oczywistość wniosku, któremu początkowo długo się opierałem, a który musiałem wreszcie przyjąć jako oczywisty i znamieny: że tym, co budziło obiekcje redaktora, była ostrość polemiczna mego opracowania. Możliwe, iż (choć był redaktorem „The Criterion”) nie zdawał on sobie sprawy, co może oznaczać jego zamówienie potraktowane poważnie. W każdym razie przeczytawszy, co napisałem, i zapoznawszy się z zebrany materiałem dowodowym (zob. *What's Wrong With Criticism?*), zrozumiał, że artykuł taki wzbudziłby nieprzejeжданą wrogość w panującym świecie literackim, a nie leżało zupełnie w jego zamiarach wywoływanie takiej wrogości wobec siebie.

Wybitny intelektualista z Cambridge, który posiadał sztukę bycia wybitnym bez obrażania kogokolwiek i bycia antyakademickim bez wzbudzania sprzeciwu akademików, zaznaczył wówczas, jak pamiętam, tonem łagodnej ironicznej przygany: „J a nie wyznaję moralności heroiczej”. Nie potrafię powiedzieć, czy redaktor „The Criterion” chciałby wyznawać taką moralność, ale ujawniające się w tym periodyku wyniki redaktorskiego postanowienia, by podtrzymać solidarność z tym światem, dla którego rezygnacja z aspiracji do funkcji krytyka musi stanowić śmiertelną

obrażę, były widoczne dla każdego, kto tylko stracił postawę naiwnego szacunku. Efekty te szybko stawały się coraz wyraźniejsze.

Przypominam te rzeczy, gdyżśmy bowiem omawiając stan krytyki dochodzili do wniosku, że cały świat anglosaski nie może — czy nie chce — poprzeć jedyne go poważnego periodyku krytycznego, istnienie „The Criterion” nie wydawało nam się powodem do łagodzenia naszych opinii.

Jak może wyglądać poważne czasopismo krytyczne, widzieliśmy na przykładzie „The Calendar of Modern Letters”, należącego do niedawnej przeszłości, przestał bowiem istnieć w 1927 r. po dwu- i półrocznym żywocie (1925—1927). „The Calendar” stanowił bez wątpienia realną propozycję (bardzo wpływową) utrzymania silnej i żywotnej krytyki współczesnej. Jego recenzje miały wagę, odpowiedzialność i ostrze nadane przez bezstronną umysłowość, która spostrzega i osądza na podstawie szerokiego wykształcenia i znajomości wchodzących w grę dyscyplin. Ośrodkiem kręgu współpracowników była grupa sześciu inteligentnych krytyków, którzy — nie było co do tego wątpliwości — rzeczywiście stanowili grupę. Za ich artykułami wyczuwało się dyskusję obejmującą zakres wspólnych zainteresowań. A czujna i bystra wrażliwość na nowe przejawy twórczego życia określała ich zainteresowania, sposób pisania i stosunek do zagadnień. Np. w połowie lat dwudziestych „The Calendar” niedwuznacznie uznał, że w poezji dokonana się podstawowa zmiana — i to nie po prostu dlatego, że Eliot, autor *Jałowej ziemi*, miał talent domagający się większej uwagi niż ta, jaką zechciał mu poświęcić np. „The London Mercury”. Dobre rozeznanie było widoczne w recenzjach i w utworach, które sam „The Calendar” drukował; chodzi mi tu jednak szczególnie o szkic Edgella Rickworda *The Re-creation of Poetry: Art and the Negative Emotions*, włączony do wyboru z „The Calendar”, pt. *Towards Standards of Criticism*, który wydałem jako rozmyślną demonstrację w r. 1933, kiedy zaczęło wychodzić „Scrutiny”.

Nazwa naszego periodyku była pomyślana jako pozdrowienie i gest uznania — w intencji jakby nawiązania do „The Calendar”, którego „dociekania” [*scrutinies*] poddawały krytyce starą gwardię, współczesnych „klasyków” wskazywanych samą nazwą działu (była bowiem wówczas popularna książka *Scrutinies*, zawierająca przedruki esejów Barriego, Beneta, Chestertona, De La Mare’a, Kiplinga, Masfielda, George’a Moore’a, Showa, Wellsa i Galsworthy’ego — i na koniec D. H. Lawrence’a).

Nie zakładaliśmy jednak, że powtarzamy czy usiłujemy powtarzać „The Calendar”. Krótki epizod jego istnienia uważaliśmy za zakończony: jeżeli organ prowadzony tak inteligentnie i tak żywo nie był w stanie zdobyć i przyciągnąć na stałe tylu czytelników, ażeby się utrzymać, to było jasne, że żaden periodyk literacki nie mógł w naszych czasach

mieć nadziei na utrzymanie się na zasadach samowystarczalności, tzn. ponosić koszty i opłacać współpracowników z dochodów uzyskanych ze sprzedaży i ogłoszeń. Zgromadziły nas procesy cywilizacyjne związane z symboliczną nazwą Northcliffe. Naszym zdaniem nie wynikało stąd jednak, że skoro potencjalny krąg czytelników periodyku literackiego nie jest na tyle liczny, aby się, w zwykłym znaczeniu słowa, opłacał, to taki periodyk nie może istnieć. Musi istnieć — oto było nasze założenie i problem polegał na znalezieniu jakiegoś innego sposobu niż stara zasada gospodarności, aby poprowadzić przedsięwzięcie. Nie braliśmy pod uwagę ewentualnych dotacji, i to nie tylko dlatego, że nie uważaliśmy umiejętności ich pozyskania za jedną z kwalifikacji, które musimy posiadać, ale dlatego, że byliśmy zdecydowani na rozwiązanie bardziej doniosłe.

Byliśmy oczywiście z gruntu empirykami i mieliśmy skłonność do kompromisów: uświadamialiśmy sobie czas i miejsce, w których żyliśmy, i trzeba powiedzieć, rzecz polegała na tym, aby wyzyskać wszystkie korzyści, jakich dostarczały nam okoliczności czasu i miejsca. Działaliśmy w całkowitej świadomości tego, co było więcej niż przypadkowe i niezależne od okoliczności i co również dawało pewne korzyści. Był to czas zniw marksizującej inteligencji literackiej. Byliśmy antymarksistami — co stanowiło (jak sądziliśmy) oczywistość; świadome, tzn. rzeczywiste zainteresowanie literaturą zakładało jej pojmowanie całkowicie odmienne od wszelkich koncepcji, jakie mógł wyłożyć i objaśnić marksista. Literatura — to, co znaliśmy jako literaturę i czego uczyliśmy się do bakalaureatu — znaczyła wiele; miała żywotne znaczenie dla cywilizacji — tego byliśmy pewni. Miała znaczenie, ponieważ reprezentowała rzeczywistość ludzką, autonomię ludzkiego ducha [...]. Moda na marksizm rzucała nam doktrynalne wyzwanie. Marksizm był przecież charakterystycznym wytworem tej naszej „kapitalistycznej” cywilizacji i jej rozwój i postęp zdawał się demonstrować praktycznie ów właśnie determinizm ekonomiczny, do którego zwalczania zobowiązaliśmy się. Dialektyka, od której chcieliśmy wyzwolić literaturę i kulturę humanistyczną, była dialektyką zewnętrzną czy też materialnej cywilizacji, w której żyliśmy. „Zewnętrzna” czy „materialna” nie wymaga tu definicji: oba te przymiotniki pozwalają doskonale zrozumieć, że cała nasza cywilizacja jest sprawą bardzo złożoną [...].

Cambridge więc reprezentowało dla nas antymarksistowską świadomość własnej natury i potrzeb cywilizacji [...]. Naszą siłą stanowiło to, że byliśmy zarówno w najszerszym rozumieniu podjętego zadania, jak i w rzeczywistości, choć relacjonując to w paradoksalny i ironiczny sposób, reprezentantami takiego Cambridge. Właściwie st a n o w i l i ś m y takie Cambridge, czuliśmy to i mieliśmy coraz więcej do tego powodów, a nasza

wiara w siebie i odwaga stąd się wywodziła. Dzięki sile prawdziwego Cambridge, świadomie i jawnie reprezentowanego na łamach „Scrutiny”, pismo nie tylko przewyciężyło wrogość instytucjonalnych sił akademickich; stało się ono — któż temu dzisiaj zaprzeczy? — bezspornym, zwycięskim uzasadnieniem świata Cambridge jako ośrodka humanistyki. W Cambridge „Scrutiny” było źródłem owej ożywczej siły, która nadała English School jej rangę i rezonans, a czytelnicy tego pisma na całym świecie, choć stanowili szczupłą garstkę, stworzyli niezwykle wpływową społeczność. Duża ich część była związana z oświatą szkolną i akademicką. Sukces naszych donkiszotowskich antyakademickich planów, pokaz siły prawdziwego Cambridge w celu pokonania od wewnątrz akademickiego etosu w najbardziej pozytywny i twórczy sposób, nie mógł być bardziej pełny i doniosły.

W działalności „Scrutiny” nie było bowiem nic akademickiego. W ciągu dwóch dziesięcioleci periodyk ten spełniał obowiązki krytyki z niepożytą energią. Nie dysponował odpowiednikiem filozofii [...] grupy „Criterion” i nie hołdował ortodoksji krytycznej, ale ten wielki zespół bardzo różnorodnych krytyków służących ideałom bystrej obserwacji i bezstronnego sądu stworzył, szanując indywidualne kryteria i indywidualną wrażliwość krytyczną, społeczność, z której powiązanych w sposób istotny wysiłków wyłoniła się jedność, przez co „Scrutiny” ustanowiło — dla wszystkich zainteresowanych — w obliczu współczesnego zamętu dotyczącego wartości, znaczenia i przebiegu życia, coś w rodzaju oficjalnej skali. Główne opinie „Scrutiny” miały charakter oficjalny, tzn. zdołały zapanować i choć z początku były wyśmiewane lub pogardzane, stały się przyjętą ogólnie walutą obiegową. Pismo ustanowiło nowy język krytyczny i nową koncepcję natury krytycznego myślenia. Uwadze krytycznej zwróconej na stan obecny literatury angielskiej towarzyszyło blisko z nią związane przewartościowanie przeszłości, ponieważ uwagę na przeszłość skierowała długa seria recenzji i esejów.

Jest rzeczą oczywistą, że choć słusznie stwierdziłem poprzednio, iż „Scrutiny” nie miało własnej filozofii (w każdym razie żadnej, która by odpowiadała aktualnym wymaganiom polemicznym) ani też ortodoksji, miało jednak zaplecze idei i przekonań bardzo dalekie od negatywizmu: istniała zdecydowanie pozytywna koncepcja tego, jak powinna wyglądać rzetelna propozycja wypełniania funkcji krytycznej — koncepcja stanu i kierunku rozwoju cywilizacji w Anglii, potrzeb kulturalnych i sposobu ich zaspokajania. Znaczy to, że my, współpracownicy „Scrutiny”, uznaliśmy, przy wszystkich różnicach przekonań i „filozofii”, że należymy do jednej wspólnej cywilizacji i pozytywnie określonej kultury. Kulturę tę stanowiła dla nas przede wszystkim literatura angielska. Uważaliśmy, że

istnieje literatura angielska — że powinno się pojmować literaturę angielską, jeżeli się jest nią rozumnie zainteresowanym, jako coś więcej niż zespół indywidualnych dzieł. Uznaliśmy więc, że podobnie jak kultura, którą reprezentuje, musi ona — skoro jest rzeczystwa i żywa — żyć w terażniejszości, a życie to rozwój. Byliśmy zatem zainteresowani w zachowywaniu tradycji i ciągłości, ale też byliśmy skrajnie antyakademiccy. Chcieliśmy popierać to, czego nienawidzi umysłowość akademicka w dziedzinie „nauk humanistycznych”: twórczą grę rzetelnych sądów — prawdziwie indywidualnych sądów, tzn. umysłów zaangażowanych, żyjących w pełni terażniejszością.

Jeżeli chodzi o ideę uniwersytetu, to chcieliśmy udowodnić, że Cambridge nie musi być akademickie — że prawdziwe Cambridge wcale takie nie jest. Naszą sprawą była specjalnie krytyka literacka, ale nie myśleliśmy, że postępujemy zbyt dowolnie, uważając twórczy proces krytyczny — to wzajemne oddziaływanie indywidualnych opinii, w którym ustanawia się wartości i tworzy się świat sądów społecznych w znaczeniu takim jak sądy naukowe, ale też wyłącznie prywatnych — za zjawisko reprezentatywne i typowe dla procesu tworzenia się świata ludzkiego, jego odnawiania się i utrzymywania przy życiu; świata ludzkiego, bez którego „naukowa konstrukcja świata fizycznego {...} z jej głębią intelektualną, złożonością i wymową” (ogłoszona w niedawnym wykładzie Sir Charlesa Snowa za „najpiękniejsze i najwspanialsze zbiorowe dzieło umysłu człowieka”) nie miałyby znaczenia ani przydatności, nie byłaby możliwa. Wiedzieliśmy, jak to sformułowałem recenzując wymieniony wykład, że to pierwotne ludzkie osiągnięcie — stworzenie ludzkiego świata, nie jest czymś, na czym moglibyśmy poprzestać jako na dziele już ukończonym, ale że żyje w żywej twórczej reakcji na współczesne zmiany. Uważaliśmy tę reakcję za funkcję zarówno krytyki, jak i English School w naszym starożytnym uniwersytecie, jako przedmiot zespolonego wysiłku szerszej wspólnoty kulturalnej.

Jasne jest więc, dlaczego „Scrutiny” było zupełnie innym przedsięwzięciem niż te późniejsze kwartalniki amerykańskie, które przez długi czas dawały głównie możliwość znalezienia od czasu do czasu rozsądnego artykułu krytycznego czy poważnej, wnikliwej i odpowiedzialnej recenzji. Różnica polega na zaangażowanej programowości koncepcji i zamiarów, z jaką przystąpiliśmy do czegoś bardziej szczególnego, ambitnego i (z punktu widzenia umysłowości akademickiej) agresywnego niż tylko ogólne prowadzenie periodyku intelektualnego. Polega na silnej i określonej koncepcji funkcji i środków w odniesieniu do czasu, miejsca i możliwości przy istniejącym stanie współczesnej cywilizacji (co do której mieliśmy przemyślany i pogłębiony pogląd). Polega też na okoliczności, że „Scru-



tiny”, w przeciwieństwie do amerykańskich kwartalników (i „The Criterion”), nie korzystało z dotacji (i nie miało nadziei na korzystanie). Właściwie o d m o w a przyjęcia dotacji była częścią naszej koncepcji. Zdecydowani byliśmy udowodnić, że na takiej podstawie, jaką dysponujemy i jaką my, główni przywódcy, postanowiliśmy za wszelką cenę zachować, przedsięwzięcie, które zamierzaliśmy, może się samo w jakiś sposób utrzymać — przynajmniej w tym stopniu, aby opłacić koszty druku.

Istotną częścią koncepcji „Scrutiny” było wykazanie, że skoro tylko zostanie wyzywająco zaprezentowana ogólna funkcja periodyku, a wyzwanie zostanie poparte silną, przekonującą i trafną realizacją, można będzie zgromadzić czytelników oraz utworzyć i utrzymać podstawowy zespół wyjściowy elity umysłowej (który właśnie dzięki swej elitarności będzie nieproporcjonalnie wpływowy). „Scrutiny” bardzo szybko wyrobiło sobie pozycję mimo gwałtownej (i nie przebiegającej w środziskach) wrogości świata literackiego i akademickiego. Nasi współpracownicy pisali (jeśli w ogóle można by tu żądać czegoś więcej niż oddania się wspólnej idei) dla zaszczytu: korzyść i satysfakcja płynęły z drukowania w miejscu dającym takie wyróżnienie. Zamiast im płacić (nie byliśmy w stanie — nie płaciliśmy także sobie samym, „personelowi”) utrzymywaliśmy niezmiennie wysoki poziom. W ten sposób przyciągaliśmy talenty spoza Cambridge, jak również znane i wyrobione nazwiska, których nie życzyliśmy sobie (był to ciężar i kłopot, bo jakkolwiek taktowna byłaby odmowa, wzbudzała urazę). Jądro jednak zespołu współpracującego, przynajmniej w pierwszych latach, stanowili doktoryzujący się młodzi absolwenci, wykształceni przez „Cambridge English”, i goście domu, w którym powzięta została idea pisma.

Związki z „Cambridge English” były ściśle i istotne, choć nie instytucjonalne i choć, jak było wiadomo, nie cieszyły się oficjalnym uznaniem. Stanowiły one zrealizowaną część naszej koncepcji „Scrutiny”; zachodziło tu czynne połączenie troski o funkcję krytyki z troską o Uniwersytet jako ośrodek humanistyczny. Dla członków zespołu pozostających w Cambridge praca dla „Scrutiny” była nieodłączna od ich studiów i wykładów (choć nieoficjalnych) w English School i od ich badań. „Scrutiny” byłoby nie do pomyślenia bez anglistycznego bakalaureatu i trwałej aktualności „Cambridge English”, a „Cambridge English” bez „Scrutiny” pozbawione by było w ciągu tych trzydziestu lat owej siły ożywczej, która wywierała decydujący wpływ na wykształcenie (i więcej niż wykształcenie).

Aby w jakimkolwiek stopniu nie przyczynić się do potwierdzenia opinii, że „Scrutiny” było organem małej i szczupłej grupy czy hołdowało koteryjności, dodam, że przez czas swojego istnienia wydrukowaliśmy ponad 150 autorów. Wyznawali oni różne przekonania i poglądy, a skala

tematów, o których pisali, odpowiadała naszemu założeniu, że English School powinna być ośrodkiem łączącym. Z obcych literatur, którym poświęcano uwagę, francuska zajmowała oczywiście najwięcej miejsca, długie bowiem związki z literaturą angielską nadawały jej szczególną wagę i kluczowe znaczenie. Niektóre z prac o „*Grand Siècle*” opublikowane w „Scrutiny” — przez długi czas popularne w formie książkowej i cenione w stołecznym świecie literackim — są dobrze znane, choć nie łączono ich raczej z naszym pismem. „Scrutiny” nie uniknęło całkowicie zarzutu frankofobii, którym wyróżniano kiedyś jednego z czołowych redaktorów pisma, piszącego te słowa. Jednak o literaturze francuskiej pisano tam wiele i jeżeli charakterystyczne dla pisma było drukowanie przewartościowców Corneille’a i Racine’a, to równie charakterystyczne było to, że po raz pierwszy po wojnie pisało się doniesienia o Sartrze i Camusie. I jeżeli, dla uwydatnienia jednego z najistotniejszych sukcesów „Scrutiny”, wolno mi wskazać wybitny i wysoce indywidualny rezultat uzdolnień występujących równocześnie, to jako reprezentujący na swój sposób odrębną cechę „Scrutiny” wymieniłbym esej Jamesa Smitha o Mallarmém (VII, s. 466) będący recenzją książki niemieckiego autora o tym poecie — książki, która, jak mi się wydaje, nie była poważnie recenzowana w żadnym angielskim periodyku. Jeżeli chcieliśmy uwolnić się od akademizmu, to nie poprzez rezygnację z akademickich kwalifikacji.

Esej Jamesa Smitha (dziś profesora) jest przykładem badawczej myśli krytycznej; mógł go napisać tylko krytyk zdolny do bystrego, oryginalnego sądu o poezji pisanej w jego własnym języku, a także znający doskonale niemiecki i francuski. To charakterystyczne dla autora połączenie wrażliwości z intelektualną solidnością wystąpiło w tym dziele podobnie jak w eseju o *Metaphysical Poetry*, który wydrukowaliśmy w drugim roczniku (II, s. 222) i który (z błogosławieństwem profesora Griersona) niemal natychmiast został uznany za klasyczne dzieło krytyki. Fakt, że James Smith należał do najbardziej cenionych ze ścisłego grona współpracowników (napisał poza tym długi artykuł o Chapmanie, eseje o *The Tragedy of Blood* i o *Doktorze Faustusie* Marlowe’a, analizy Crocego i Alfreda Northa Whiteheada), można uznać za oczywistą konsekwencję naszej napastliwości wobec powierzchownej wiedzy i dętego intelektualizmu — naszej z góry przewidywanej napastliwości i wrogości. Przyniosła nam ona w zamian również wiele nienawiści.

Ogólnie biorąc, nasza krytyka literatur obcych, francuskiej, niemieckiej i włoskiej, jest dziełem autorów, którzy nie tylko posiadają doskonałą znajomość danego języka, ale są aktywnymi krytykami, co sprawdziło się na ich pracach dotyczących literatury pisanej w ich własnej mowie. A wynika stąd, że choć rozpoczęliśmy lansowanie pewnych mód, to nasi krytycy nie byli w większym stopniu podatni na modę zajmując się in-

nymi literaturami, niż pracując nad własną. Można z powodzeniem uznać za charakterystyczną oznakę etosu, który chcieliśmy reprezentować, że jeden z najwybitniejszych esejów D. A. Traversiego drukowany w „Scrutiny” miał za temat *I Promessi Sposi* [*Narzeczonej* A. Manzoni] (IX, s. 131). Z drugiej strony, jeżeli chodzi o literaturę niemiecką, której poświęcaliśmy więcej miejsca niż włoskiej, ale — odpowiednio — mniej niż francuskiej, to choć w należyty sposób potraktowaliśmy Kafkę (nie porzucaliśmy na jednym artykule) i nie zaniedbywaliśmy Rilkego i Stefana George’a, w czasie wojny wydrukowaliśmy obszerną pracę o Goethem, pióra D. J. Enrighta<sup>1</sup> — poświęcenie wówczas temu autorowi tak znacznego miejsca było w pewnym sensie naszym udziałem w polityce.

Badacz kolejnych roczników „Scrutiny” przekona się, że nie omieszkaliśmy dotrzeć, zachowując wspomniane wyżej kryteria, do znakomitych przedstawicieli amerykańskiego świata literackiego<sup>2</sup>; właściwie można powiedzieć, że tworzyli oni jedno z osobnych źródeł naszej siły. Jednak aby nawiązać do współcześnie toczonych dyskusji o „dwu kulturach”, zamiast rozwódzić się nad wielkością i różnorodnością osiągnięć „Scrutiny” na terenie amerykańskim, przeniosę się od literatury na przeciwny krańiec pola zainteresowań i zwrócę uwagę, że J. L. Russell, którego esej *The Scientific Best Seller* traktujący o Jeansie i Eddingtonie można znaleźć na s. 348 tomu II<sup>3</sup>, przedstawiciel nauk ścisłych, należał do naszej pierwotnej grupy i znał dyskusje toczące w środowisku stanowiącym ośrodek zespołu. Nazwiska Jeansa i Eddingtona nie mają teraz znaczenia symbolicznego czy reprezentatywnego, które miały wówczas, ale mogą zaświadczyć, że esej zrobił wielkie wrażenie („Celem niniejszego artykułu”, głosiło pierwsze zdanie, „jest omówienie przyczyn popularności wymienionych książek i ich wartości z ogólnokulturowego i filozoficznego punktu widzenia”), wywołał duży oddźwięk i zyskał światową sławę, jak wiem od gości Cambridge (a zagraniczni goście, co zauważę korzystając z okazji, przeważnie wyrażali pochlebne opinie o statusie „Scrutiny” — pochlebne w każdym razie dla Cambridge).

J. L. Russell nie był naszym jedynym współpracownikiem z dziedziny nauk ścisłych. Lecz nie powinienem już dłużej pomijać milczeniem tego, co było głównym przejawem idei „Scrutiny” — tak jak ją pojmowaliśmy i realizowaliśmy — a mianowicie sposobu, w jaki staraliśmy się dać wyraz przekonaniu (deklarowanemu, jak można powiedzieć — książka ukazała się bowiem najpierw w „Scrutiny” — w mojej *Education and the*

<sup>1</sup> Zajmuje obecnie katedrę anglistyki w Singapurze.

<sup>2</sup> Zob. zwłaszcza prace Henry Bamforda Parkesa i Mariusa Bewleya którego *The Complex Fate* zostało w dużej części opublikowane w „Scrutiny”.

<sup>3</sup> Przedrukowałem go wraz z innymi esejami ze „Scrutiny” w *Determinations*, które ryczałem sprzedaliśmy wydawcy, żeby uzyskać fundusze na rzecz pisma.

*University: A Sketch for an English School*), że studia literackie powinny się rozprzestrzeniać odśrodkowo i stanowiąc niejako „tło” (kategoria przyjęta i uznana), kierować inteligencję ukształtowaną na anglistyce w stronę zupełnie innych dziedzin niż literatura. Zamierzenie zainicjowane i wyposażone w potężną siłę napędową przez *Fiction and the Reading Public* (z ciągiem dalszym *Culture and Environment*) było kontynuowane w „Scrutiny”, gdzie stanowiło jedną z naszych głównych trosk. A jeżeli mamy mówić o „socjologii”, o której tyle się słyszy w ostatnich latach jako o nowym, „socjologicznym” ujęciu literatury, rozrywki i kultury, a która najpewniej (jak widać) została wynaleziona przez autorów zaznajających w „The Guardian”, tygodnikach i niedzielnych wydaniach gazet takich względów, jakich *Fiction and the Reading Public* i „Scrutiny” nigdy nie zaznały, zatem w związku z socjologią można śmiało powiedzieć, że jeśli chodzi o systematyczne studia wymagające sprawności krytycznoliterckiej, została ona zaprezentowana i była praktykowana w „Scrutiny” i w udokumentowanych pracach naukowych, z których „Scrutiny” w znacznym stopniu wywiodło swój początek.

Ponadto chciałbym należycie uwydatnić fakt, że gdy mówiliśmy i myśleliśmy o dyscyplinie intelektualnej, która — jeśli chodzi o wynikającą z niej wrażliwość w opanowaniu i wartościowaniu materiału — wypływa z wykształcenia otrzymanego przez solidne studia w zakresie „angielskiego”, nie używaliśmy wyrazu „dyscyplina” lekko i nieodpowiedzialnie. Muszę również zwrócić uwagę, że przynajmniej pięciu członków grupy „Scrutiny”, studentów „angielskiego”, zostało antropologami. Kilku z nich cieszy się teraz dużym uznaniem i opinią wybitnych uczonych w swojej dziedzinie, a niektórzy uczynili ze „Scrutiny” nazwę znaną „nawet” w swej własnej szkole, na swoim starożytnym uniwersytecie. Leży przede mną list od jednego z nich (pisany gdzieś w Afryce), w którym pisze, że wiadomości „anglistyczne” uzyskane w środowisku „Scrutiny” decydująco oddziaływały na jego rozwój jako antropologa.

Członek naszego zespołu redakcyjnego, D. W. Harding, obecnie kieruje katedrą psychologii społecznej w Londynie. Profesor Harding najpierw studiował anglistykę, a po bakalaureacie przeniósł się na psychologię. Można było więc powiedzieć o nim z pełnym uzasadnieniem (większym niż o I. A. Richardsie, z którym wówczas łączono to sformułowanie), że znalazł się w miejscu, gdzie spotykają się psychologia i krytyka literacka. Niedwuznacznie ironiczna jest wymowa faktu, iż „The Times Literary Supplement” uznał za właściwe w ćwierćwiecze po ukazaniu się krytyki poglądów I. A. Richardsa pióra Hardinga (I, s. 327), powiedzieć swoim czytelnikom jako o czymś znanym i oczywistym, że zamierzeniem „Scrutiny” było uczynić z krytyki literackiej naukę.

Zamierzenie to było oczywiście związane z Cambridge, a było to Cam-

bridge I. A. Richardsa, C. K. Ogdena, *basic English* i neobenthamizmu. Można chyba, jak myślę, bez przesady powiedzieć, że jedyna skuteczna i celna krytyka, z jaką spotkał się Richards, reprezentant owego Cambridge w dziedzinie myśli krytycznej (lub mody pseudointelektualnej), ukazała się w „Scrutiny” — dobry przykład tego, czego można dokonać przy oczywistym braku szans, jeżeli jawna i niezaprzeczalna prawda zostanie ostro sformułowana, przy czym wielu o niej usłyszy, a wielu dowie się, że jest głośna. Artykuł Hardinga ukazał się w r. 1933, a ja przedrukowałem go w *Determinations* (1934). Nie wiadomo mi o jakiegokolwiek odpowiedzi na ostrą analizę Hardinga, a Richards zwrócił się ku „semazjologii”, którą to wiedzę obiecał stworzyć w książce *Coleridge on Imagination*, gdzie stawia zadanie „przeformułowania Coleridge’a w kategoriach benthamowskich”. Obszerną recenzję pt. *Dr Richards, Bentham and Coleridge* poświęciło tej książce „Scrutiny” w 1935 r. (III, s. 382). Ta krytyka prądu neobenthamowskiego była przygniatająca — w ten osobliwy i charakterystyczny sposób, którego nauczyliśmy się tak dobrze. Oficjalne anglistyczne koła akademickie, które okazały się tak gościnne dla Richardsa (*Coleridge on Imagination* zostało przyjęte i zalecane jako autorytatywna książka o Coleridge’u), nie dały żadnego znaku, że zorientowały się, iż stało się coś, co powinno by się znaleźć w ich właściwym polu widzenia; podobnie zareagował modny świat literacki wypowiadający się w „The New Statesman and Nation”, „The Times Literary Supplement” i „The Criterion”. Badacz tych organów prasowych stwierdzi, że zwyczaj czynienia tajemniczych aluzji i założeń (a metoda krytyczna Cambridge — czyli, jak to od razu przyjęto, neobenthamistyczna — stała się jednym z tych określonych punktów na podręcznej mapie intelektualisty, które umożliwiają opanowanie krytycznych sekretów świata literackiego) pozostał bez zmiany. Lecz teraz rozdział neobenthamizmu w Cambridge — a prąd ten objął Cambridge przez English School — został zakończony; *basic English* stał się głównym przedmiotem zainteresowania Richardsa w miejsce semazjologii, a neobenthamizm w tej formie, jeżeli się kojarzył z jakimś uniwersytetem, to raczej z Harvardem.

Następnym członkiem zespołu, który łączył wykształcenie akademickie z dwu odrębnych dziedzin, był W. H. Mellers (obecnie kierownik katedry muzyki Andrew Mellona w Pittsburghu). Mellers, stypendysta anglistyki w Downing College, wysłuchał obu części kursu anglistycznego bakalaureatu (będąc cały czas duszą muzycznego życia College’u, który wówczas stanowił znany ośrodek muzyczny), a następnie przeniósł się na studia muzykologiczne. Jego częsta współpraca ze „Scrutiny” zyskała mu znakomitą opinię i należała przez kilka lat do głównych atrakcji pisma. Jako krytyk bardzo szybko zdobył sobie nazwisko dzięki przenikliwej inteligencji i niekonwencjonalnym opiniom. Pisał w charakterze muzyka i mu-

zykologa, ale jego artykuły stanowią kolejny przykład wagi, jaką my, w zespole „Scrutiny”, przywiązywaliśmy do dyscypliny i wykształcenia również w dziedzinach nieliterackich. Cechy, dzięki którym jego ogólna postawa zgodna była z etosem „Scrutiny”, są widoczne w jego pierwszej książce *Music and Society* (1946), w znacznej części napisanej wcześniej dla „Scrutiny”. Znajdziemy w niej — co warto m. in. zauważyć — zdanie, które pochodzi z *Fiction and the Reading Public*.

Zanim Wilfred Mellers zaczął dla nas pisać, mieliśmy już wybitnego krytyka muzycznego. Bruce Pattison (obecnie profesor pedagogiki w Londynie) jako doktorant był członkiem początkowego zespołu. Jego artykuły ukazywały się w pierwszych sześciu tomach. Charakterystyczny dla Pattisona sposób realizowania ideałów pisma ujawnił się szczególnie wyraźnie w artykule *Musical History* (III, s. 369) i w recenzji *Purcella* Westrupa, zatytułowanej *Orpheus Britannicus* (VI, s. 106), pilnie i z wdzięcznością odczytywanej przez niezliczonych studentów specjalizujących się w literaturze XVII wieku.

„Scrutiny” zatem forsowało i uzasadniało koncepcję nauki o literaturze angielskiej jako ośrodka jednoczącego badania<sup>4</sup>. Ośrodek ten w naszym pojęciu leżał niewątpliwie w krytyce literackiej i był to rzeczywiście żywy ośrodek. W zakresie krytyki literackiej doszło też do podstawowych osiągnięć „Scrutiny”. Będzie zatem na miejscu, jeżeli wyjaśnię bliżej, na czym te osiągnięcia polegały. Jak powiedziałem, „Scrutiny” dokonało czegoś w rodzaju przewartościowania literatury angielskiej, a powiedziałem to, zwracając uwagę na sposób naszego zainteresowania teraźniejszością. Przeszłość traktowaliśmy w sposób naukowy. Uczni (w potocznym znaczeniu tego słowa) patrzyli na to niechętnie, gdyż była to uczoność krytyka, który wie, czym jest literatura, może ją sam rozpoznać, odnaleźć i rozumnie omówić. Najlepiej to przedstawię, przypominając studia Johna Speirsa o literaturze średniowiecznej. Ciągłe się słyszy o pogardliwym przemilczeniu jego prac o Chaucerze i Sir Gawaynie ze strony powag akademickich; studentom zaleca się, aby ich nie czytali, tak jak kiedyś zabraniało im się czytać artykułów „Scrutiny” o Szekspirze. Jednakże nie podaje się nigdy poważnego uzasadnienia. I faktem jest, że uzasadnienia być nie może. Przystępstwo Speirsa polega na tym, że będąc sam rozumnym i żarliwym badaczem, podniósł pośrednio sprzeciw wobec

<sup>4</sup> Warto tu przypomnieć, że spośród innych członków zmieniającego się zespołu redakcyjnego L. C. Knights i F. R. Leavis mieli wykształcenie historyczne, a filologię angielską traktowali jako przedmiot towarzyszący, Denys Thompson studiował filologię klasyczną przed anglistyką, a H. A. Mason, przejęty przez nas z Oksfordu, miał dyplom z filologii klasycznej i neofilologii, co stanowiło naukowe i krytyczne zaplecze oryginalnego dzieła o erze Tudorów (zob. jego książkę *Humanism and Poetry in the Early Tudor Period*).

tego, co jest zwykle uważane za specjalistyczną wiedzę, że zakwestionował (w gruncie rzeczy) jej powagę; a obraza nie została wybaczona nawet wtedy, gdy „uczeni” (co jest powszechną praktyką) przejęli, na ile zdolali, owoce obrażającej ich pracy. Nie pokwitowali w żaden sposób tego, co przejęli, a kiedy pewien ambitny akademicki intelektualista podał tezy Speirsa o *Sir Gawayne and the Grene Knight* jako próbę swojej pionierskiej oryginalności (powiedzmy!), została ona uznana za głęboką i znakomitą, a jego kariera osiągnęła znaczny postęp. Według tego wzoru wielokrotnie postępowano z autorami „Scrutiny”.

Studium Speirsa *The Scots Literary Tradition* (książka pod tym tytułem zawierająca artykuły drukowane w „Scrutiny” wyszła w 1940 r.) było prawdziwie oryginalne. Łącznie z pracą o średniowiecznej literaturze angielskiej stanowi ogromne dokonanie, inspirujące i twórcze, dzięki przenikliwości, żywości i rozsądkowi krytycznemu. Dokonanie Speirsa w zakresie literatury średniowiecznej polegało na tym, że wyjął ją z rąk specjalistów i zawodowców i oddał kulturalnemu czytelnikowi jako żywą lekturę. Na tym polega przestępstwo, które specjaliści i zawodowcy nazywają brakiem podejścia naukowego.

Pod pewnym względem niechęć wzbudzana przez artykuły o literaturze średniowiecznej przypominała reakcję na ukazujące się w „Scrutiny” studia szekspirowskie. A to oburzenie z powodu rzetelnego traktowania Szekspira nie całkiem jeszcze wygasło: recenzenci akademicy często zauważają, że profesor L. C. Knights jest o wiele lepszym krytykiem Szekspira teraz niż w czasach „Scrutiny”, kiedy brał udział w kampanii przeciwko Bradleyowi. Oczywiście wina, jeżeli trzeba ją komuś przypisać, nie obciążała wyłącznie czy choćby w szczególny sposób L. C. Knightsa. Studia szekspirowskie opublikowane w „Scrutiny”, autorstwa wielu różnych osób, były wszystkie wyrazem ogólnego etosu i stanowiska krytycznego panującego w piśmie. W wyniku tych artykułów Bradley został skompromitowany, co dokonało się przez uświadomienie świata akademickiemu — drogą podawania pozytywnych przykładów przenikliwych i rozumnych interpretacji — jak nietrafne i błędne były jego poglądy. Ośmiu czy dziewięciu różnych krytyków, pisząc o poszczególnych dramatach czy recenzując książki o Szekspirze, udowodniło — otwarcie lub pośrednio — że nie wystarczy omawiać sztuki Szekspira, jakby to były powieści stosujące się do ustalonych wiktoriańskich (i postwiktoriańskich) konwencji. Ta sugestia przeciwna tradycji była obrazą odczuta tak samo silnie jak wskazówka, że dla właściwego rozumienia Chaucera, Langlanda i Sir Gawayne’a trzeba bardziej precyzyjnego ryzostunku koncepcji krytycznych niż ten, który posiada uczone przywykły do wiktoriańskiego sposobu traktowania poezji.

Kompromitacja Bradleya była tak całkowita, że wzrost niechęci wzbud-

dzanej przez akcję „Scrutiny” wymaga jeszcze pewnej egzemplifikacji. Pamiętam mianowicie, jak pewien młody wybitny szekspiolog z Cambridge, będący zarówno laureatem nagrody Charlesa Oldhama jak i miłośnikiem nowoczesnej poezji (popierał Audena i Spendera), pisząc recenzję dla „The New Statesman and Nation” skorzystał ze sposobności, aby dać niedwuznaczny wyraz swojej uldze wykrzyknikiem „Dzięki Bogu za Bradleya!”

„Scrutiny” nie popierało żadnej metody ani sposobu ujęcia literatury. Jego recenzenci na początku lat trzydziestych, choć zalecali pewną powściągliwość i niekiedy wyrażali sprzeciw, utrzymywali jednak — co nie było powszechnie przyjętym wówczas stanowiskiem — że Wilson Knight zasługuje na poważne traktowanie. „Scrutiny” wylansowało również krytyka, którego pisma o Szekspirze odbiły się głośnym echem i dokonały przełomu jeszcze bardziej bezspornego niż poglądy Wilsona Knighta. Był nim D. A. Traversi. Troską redakcji było, aby żadna możliwa nowa metoda czy zespół koncepcji krytycznych nie stały się sztywną normą. Zwyczaje pisma i sposób przenikania jego idei zostały otwarcie sformułowane w wymianie poglądów w tomie X między ojcem A. J. Stephensonem (który polemizował z esejem F. C. Tinklera — VII, s. 5) a F. R. Leavisem oraz między tym ostatnim a L. C. Knightsem. A za nie mniejszą zasługę „Scrutiny” dla nauki o literaturze jak uwolnienie się od nawyków, jak działalność pobudzająca i zapładniająca — będzie poczytane zainicjowanie nowej orientacji w krytyce szekspirowskiej<sup>5</sup>.

Główna siła twórcza nowoczesnej literatury tkwi, jak wiemy, w powieści. I można bez wahania stwierdzić, że „Scrutiny” doprowadziło do wytworzenia poczucia konieczności nowych metod dla badania wybitnych powieści — takich, które zaliczają się do prawdziwej sztuki — i wytworzenia nowego pojęcia historii i tradycji powieści w języku angielskim. „Scrutiny” wywarło ogromny wpływ na krytykę powieści. Próbkę tego wpływu można zaobserwować w gruntownej zmianie, jaka zaszła w pojmowaniu arcyzmu i dokonań Jane Austen. Rewolucja ta (bo w odniesieniu do przyjętej pozycji Jane Austen nie można tego inaczej nazwać — a jak się zdaje, wynikała z niej generalna zmiana w krytycznym stosunku do powieści) dokonała się dzięki artykułom opublikowanym w „Scrutiny” w czasie wojny oraz dzięki rozwojowi badań tego samego typu (badań, które funkcjonują jako krytyka) we wstępie Q. D. Leavis do *Sense and Sensibility* i *Mansfield Park* w wydaniu Macdonalda — jednak

<sup>5</sup> Można się tu powołać na bardzo twórczy i przekonujący dokument, książkę H. Fluchère'a *Szekspir: dramaturg elżbietański* (1940). Henri Fluchère, członek grupy „Scrutiny” od pierwszych dni, był przede wszystkim naszym reprezentantem we Francji. Książka ta, przetłumaczona, uważana jest dzisiaj za ostatnie słowo o Szekspirze w Anglii.



zasadniczego dzieła dokonano w naszym piśmie. I to również zostało przejęte przez innych, a ci, którzy się tym posłużyli — łącznie z niezwykle sumiennymi specjalistami, okazali znamienity brak — czy wręcz przeciwnieństwo — takich cech, jak uczciwość i wielkoduszność. W ogóle wytworzyła się opinia, że taka ocena twórczości Jane Austen była zawsze oczywistością. A jak świeża i rewolucyjna była tutaj zmiana koncepcji, można się przekonać, odczytując dawne prace dyplomowe i rodzaj pytań, jakie w nich występują<sup>6</sup>. Charakter tej zmiany rejestrują ostrożne sztyderstwa pewnego świadomie zapomnianego powieściopisarza, który będąc prowokującym orędownikiem schyłkowej cywilizacji Oksfordu (gdzie<sup>7</sup> uzyskał honorowy doktorat, wygłaszając wykład na temat P. G. Wodehouse'a), oświadcza, że dyplomanci Cambridge, nauczani aroganckiej pogardy dla poglądu, że literatura istnieje dla uciechy, traktują Jane Austen ze śmieszną powagą i dziwią się, gdy ktoś uważa, że autorka ta może bawić. W Oksfordzie, jak słyszymy, dziwią się czemu innemu. „Co? *Mansfield Park* można równie dobrze nazwać »tragedią« jak »komedią«? To w rzeczywiście traktujecie życie poważnie”.

Szybko rosnące zainteresowanie krytyczne Dickensem, gotowość uznania go za wielkiego artystę — jednego z największych powieściopisarzy (tak jest!) było zapoczątkowane na łamach „Scrutiny”. Artykuł R. C. Churchilla *Dickens, Drama and Tradition*, opublikowany w r. 1942 (X, s. 358), był oryginalny i inspirujący, a tezy artykułu piszącego te słowa o *Ciężkich czasach* (XIV, s. 185), przyjęte najpierw z kpinkami, stały się obecnie powszechną własnością (na pozór bowiem tylko stanowiły nowe sformułowania). Esej ten był pierwszym z długiej serii artykułów pod ogólnym tytułem *The Novel as Dramatic Poem*; hasło to, początkowo wyśmiewane, zostało w końcu zaakceptowane: wnioski krytyczne biorące pod uwagę korzystniejszy sposób widzenia powieści, wypracowane i udokumentowane (w „Scrutiny”) przez liczne i różnorodne studia krytyczne, miały bardzo szerokie znaczenie. Pod tym samym nagłówkiem ukazało się studium G. D. Klingopulosa o *Wichrowych wzgórzach* (XIV, s. 269), które — jak łatwo się przekonać porównując daty

<sup>6</sup> Zob. również antologię cytatów z reakcji krytycznych zebraną przez D. W. Hardinga, pt. *Regulated Hartred* (VIII, s. 346).

<sup>7</sup> Warto odesłać czytelnika do artykułu *The Discipline of Letters: A Sociological Note* autorstwa Q. D. Leavis (XII, s. 12). Praca ta wprowadzi go do szeregu artykułów i wzmianek w „Scrutiny” o „socjologii” środowiska akademickiego. To z kolei odsyła do artykułu A. C. Haddona *Academic Case-History* (XI, s. 305). Wypada tu, jednocześnie z *The Discipline of Letters*, stanowiącym powściągliwą analizę tradycji *belles-lettres*, wskazać przychylnie omówienia reprezentatywnych przedstawicieli żywej — moim zdaniem — tradycji Cambridge: *Leslie Stephen: Cambridge Critic* (VII, s. 404), *Professor Chadwick and English Studies* (XIV, s. 204) i *Henry Sidgwick's Cambridge* (XV, s. 2) — wszystkie autorstwa Q. D. Leavis.

(*Wichrowe wzgórza* bowiem wzbudziły później znaczne zainteresowanie) — okazało się w pełni oryginalne i inspirujące.

„Scrutiny” opublikowało wiele pionierskich artykułów o powieści. Dzieło przywrócenia George Eliot należnego jej miejsca wśród największych powieściopisarzy (opinia bowiem Eltona, choć dziś wydaje się dziwaczna, że jej talent słusznie stawiany jest poniżej geniuszu Mereditha i Hardy’ego, była wówczas powszechnie podzielana) dokonało się w „Scrutiny” i w znacznej mierze było kopiowane przez innych. Podobnie przyznanie Conradowi zajmowanego dziś bezspornie miejsca między wielkimi, a *Nostromo* rangi najlepszej jego powieści, również można przypisać „Scrutiny”.

Można by zgłosić jeszcze wiele podobnych roszczeń, ale zatrzymam się na dwóch. Współczesny kult Henry Jamesa nie jest jedynie wynikiem pełnej zachwytów kontemplacji miłośników jego talentu, tj. rezultatem wydawania sądów według tego, co jest publikowane w pismach kształtujących opinię krytyków. Muszę bowiem zwrócić uwagę (a badacz może to bez trudu sprawdzić), że to „Scrutiny” zapoczątkowało ten kult. Nie było go w latach trzydziestych, kiedy zaczął się ukazywać doniosły zespół wydobytej przez nas twórczości krytycznej Jamesa. Ci z nas, którzy przykładali do tego ręki, nie czerpali natchnienia z wcześniejszych publikacji. Byliśmy pierwsi i z naszego dzieła czerpano inspirację — a często i coś więcej. Wiele sądów najbardziej płodnych i najbardziej pożytecznych dla przyszłych współzawodników znajdzie się w recenzjach, które nigdy (do dzisiejszego historycznie momentu) nie były przedrukowywane, jak np. recenzja Q.D. Leavis *Lekcji mistrza* i innych opowiadań w artykule *Henry James: The Stories* (XIV, s. 223).

Następna sprawa to uznanie D. H. Lawrence’a za wielkiego powieściopisarza, które dokonało się w „Scrutiny”. Jest to tak po prostu i bezspornie prawdziwe, że nic nie trzeba właściwie dodawać, ale tak ważne w jakimkolwiek sprawozdaniu z osiągnięć i znaczenia „Scrutiny”, że powiedzieć o tym trzeba. Również i to dzieło zostało bez skwitowania przejęte przez późniejszych krytyków. Powiem tu, że wydałem swoją książkę o Lawrensie, ponieważ zorientowałem się (dzięki artykułom opublikowanym w innych czasopismach), że jeśli tego nie zrobię, lecz skończę najpierw książkę, nad którą pracowałem, dzieło o Lawrensie, gdy się ukáže, będzie przez krytyków (których grupa nie zaliczała się do moich przyjaciół) okrzyknięte jako naśladownictwo z kogoś, kto się u mnie zażył. Ograniczanie się zbyt długie do opublikowania jakiejś pracy wyłącznie w „Scrutiny” — niosło ze sobą niebezpieczeństwa (zagrożenie dzieła pojawiało się zresztą jeszcze przed osiągnięciem tego etapu: niekiedy dostawała się do druku praca z notatek robionych na wykładach, a właściwy autor przeobrażał się w naśladowcę).

Obfita produkcja książkowa wynikała (i nadal wynikająca) ze „Scrutiny” stanowi hołd dla utrzymywanego tam poziomu, żywości i oryginalności, dzięki którym „Scrutiny” znane było w świecie literackim i akademickim, gdzie zresztą jeśli wspomniano to pismo, to zwykle tylko dla szyderstwa. Myślę tu głównie o licznych pasożytniczych zapożyczeniach, lecz okoliczności, które to umożliwiały, ujawniały się też w fakcie, że znaczna ilość książek — mógłbym na poczekaniu wyliczyć przynajmniej piętnaście — została napisana, rzecz można, na kartach „Scrutiny”. Każdy z naszych współpracowników miał własne, rozwinięte i rozwijane zainteresowania i tematy oraz własny zasób wiedzy i myśli. Byli to współpracownicy, aby użyć określenia, jakie Dr Johnson zastosował do Drydena, „okazjonalni” w najlepszym sensie, bowiem okazja, którą dawało „Scrutiny”, była dla nich sposobnością i bodźcem. Inną stroną tego samego faktu był sposób (i tu pozostawiam na boku ordynarne i wstrętne pasożytnictwo — choć występują różne stopnie między nim a zapożyczeniami, które należy uznać za nienaganne), w jaki „Scrutiny” stało się niewyczerpanym źródłem idei i tematów dla książek w całym świecie anglosaskim.

Mimo protestów zwyczajnej propagandy pismo nasze wcześniej zdobyło opinię, która ujawniała się w pełnym uwagi oczekiwaniu, wynikającym z tego co przed chwilą powiedziałem. Słyszeliśmy wielokrotnie, że każdy zeszyt „Scrutiny” był czytany jak książka i traktowany jak książka, do której się często powraca. Wyjaśniłem warunki, które to umożliwiły. Istniała ścisła grupa posiadająca różnorodne zainteresowania i bogata w wiedzę; istniało zaplecze dyskusji podsumowywanej, odświeżanej i podejmowanej na nowo, z której wynikał każdy kolejny numer. Tak duża część każdego numeru była pisana jako część książki, że autor dostosowywał się do tego zwyczaju, nie przewidując nawet późniejszego wydania w sztywnych okładkach. W rzeczywistości duża część zawartości „Scrutiny” nie była potem osobno drukowana, choć powinna była i na to zasługiwała. Wspomnę tu zwłaszcza pracę R. G. Coxa *The Great Reviews* (VI, s. 2 i 155). Stanowi ona najbardziej gruntowny przegląd periodyków dokonany przenikliwym okiem krytyka, który napisał dla nas olbrzymią ilość różnych recenzji najwyższej klasy i którego esej *The Critical Reviews of To-day: Prologomena to a Historical Enquiry* wyraża najdokładniej żywe zainteresowanie współczesnością, będące podstawą żywotności i znaczenia jego wiedzy. A znane nam dobrze jego badania są przykładem, jak naszemu przedsięwzięciu w „Scrutiny” towarzyszyła niezwykła i bezpośrednio doniosła świadomość historyczna.

Tego krótkiego przeglądu twórczych osiągnięć krytycznych „Scrutiny”, takich jak: wszechstronne przewartościowanie literatury angielskiej, hierarchizowanie i porządkowanie wynikające ze spełniania funkcji krytycz-

nych w odniesieniu do terażniejszości — nie chcę zakończyć bez dobitnego powtórzenia, że żadne rzeczywiste, prawdziwie twórcze osiągnięcie nie może uniknąć napastliwej negacji. Najsilniejsza i najbardziej znana usługa „negatywna”, pożądana i realizowana, której słusność i konieczność dziś się ogólnie uznaje (choć nigdy jej nie wybaczone), wymierzona była przeciwko „*Poetical Renaissance*”, koteryjnemu ruchowi, zwycięsko zapoczątkowanemu na początku lat trzydziestych. Trudno byłoby dziś uwierzyć, że (dla młodych nauczycieli i ich uczniów) Auden, Spender i Day Lewis nagle stali się chlubą współczesnej poezji angielskiej na równi z Yeatsem i Eliotem, gdyby ruch ten nie osiągnął takiego sukcesu, że trwałe połączenie nazwisk autorów z konwencjonalnymi wartościami, które im przypisano, przechodziło z pokolenia na pokolenie uczniów i studentów i zostało dodatkowo utrwalone przez historyków nowoczesnej poezji.

„Scrutiny” dowodziło, że talent i zapowiedzi sukcesów można było znaleźć — choć nie bez wątpliwości — tylko u jednego ze sławnego grona — u Audena oraz że Auden ze swoją modną, gładką i wymyślną nie-dojrzałością nie spełni tych zapowiedzi, jeżeli zaprzeczając złowróźbnej prognozie, nie okaże się wkrótce zdolny do rozwoju. Wszyscy krytycy (a staraliśmy się zapewnić mu wiele różnych i z pewnością niezależnych recenzentów), pisząc o jego kolejnych książkach w miarę, jak się ukazywały, stawiali w różnych odmianach tę samą diagnozę, która w końcu okazała się smutnym faktem. Auden bowiem nie rozwinął, czy też rozwinął się nie w kierunku dojrzałości. To, że „Scrutiny”, umacniając się w swoim stanowisku, mogło dojść do negatywnej opinii o Audenie w okresie tryumfu komunistów z elitarnym wykształceniem i „towarzyszy drogi” [*fellow-travellers*], kiedy sam Keynes — potęga w świecie mody kulturalnej<sup>8</sup> — z wielkim zachwytem propagował utwór Audena o Hiszpanii z jego dumnym wyzwaniem („A więc walka!”), było skrycie i złośliwie wykorzystane przeciwko nam.

W trzydzieści lat po naszym oskarżeniu Audena stało się ono banałem. Mówi się co prawda, że się „wyczerpał” i że to późny Auden wywołuje te współczesne niechętnie sądy. Jednak jeżeli dopuszcza się krytykę, to żaden okres Audena nie da się obronić. I właściwie milcząco to przyjmo-

<sup>8</sup> Zob. *Keynes, Spender and Currency-values* (XVIII, s. 45). Recenzując autobiograficzną książkę Stephena Spendera *World within World* i *The Life of John Maynard Keynes* autorstwa R. F. Harroda, zatrzymałem się bardziej szczegółowo nad decydującym rozdziałem historii wspomnianym w poprzednich zdaniach, a w szczególności nad udziałem Keynesa w przekształcaniu starego Bloomsbury [londyńska dzielnica literatów — przypis tłum.] w potężną klikę lat trzydziestych, „środowisko literackie”, którego ośrodkiem była grupa Audena i Spendera, a „New Statesman” Kingsleya Martina wiernym i czołowym organem.

wano. Milcząco, drogą cichej zgody, zanikła jego aureola sławy — choć utrzymał się wpływ jego upartej i konsekwentnej wymyślności [*sophistication*], która pozwala młodym poetom przedstawiać swoją niedojrzałość jako przeżyty cynizm.

Również w „Scrutiny” Eliot, uzbrojony wówczas, gdyśmy rozpoczęli naszą długą walkę, w pozycję instytucjonalną, dziś już nadwerżoną przez czas, odebrał trzeźwą i rozsądną krytykę, która ma swą wymowę czy przynajmniej potwierdza się w odczuciu jego poezji i w jego dziwnie zaskakującej wysokiej pozycji, odczuciu tak powszechnie dziś wyrażanym. Pamiętamy, że „The Criterion” był (w swoich recenzjach) organem zwycięskiej klikki tak samo, jak „The New Statesman and Nation”. Jednakże skrajni i uznani młodzi poeci byli marksistami lub marksizowali. Nas nieustannie wzywano do „odsłonięcia kart”, co oznaczało, że skoro odrzucaliśmy marksizm (i potępialiśmy sympatyzowanie z nim), nie pozostało nam nic, jeżeli chcieliśmy być poważnie traktowani, jak tylko dokonanie bez ociągania się i n n e g o wyboru dla celów polemiki literackiej z T. S. Eliotem, skrajnym prawicowcem, który sam będąc anglikokatolikiem i zwolennikiem Charlesa Maurrasa, oddawał lewicowym poetom dla ich celów dział recenzji swojego kwartalnika. My, oczywiście, chociaż docenialiśmy ironię tej osobliwej komedii, odrzucaliśmy stanowczo przypuszczenie, że dla umysłów odpowiedzialnych mogłaby to być kwestia „odsłonięcia kart” i że w tych kartach miałyby się coś znaczącego ukrywać. Rzeczywiście odrzuciliśmy marksizm, ale też nie godziliśmy się z żadnymi spośród wysuwanych jego antytez: faszyzmem, poglądami Pounda, Wyndham-Lewisa czy „Criterionu”.

W celu określenia natury osiągnięć „Scrutiny” niezbędne jest przypomnienie historii pisma. Jak sądzę, niewielu ludzi będzie dziś traktowało jako zarzut to, że nie chcieliśmy zastosować modnego sposobu udowodnienia, że byliśmy „odpowiedzialni” („odsłonięcie kart” było w czasach tryumfów Audena i Spendera dowodem odpowiedzialności). Mam również nadzieję, że to, co tu powiedziałem, utrudni komukolwiek zarzucanie nam, że „Scrutiny” okazało się w końcu mniej odpowiedzialne wobec problemów współczesnej cywilizacji niż propagatorzy oświecenia audenowsko-spenderowskiego czy redaktor „The Criterion” (które miało własną filozofię — swoją okrzyczaną specjalność). Zanouję tutaj jako znamienne i doniosły jeden fakt: wywieraliśmy wielki wpływ — i nie mniejszy przez to, że „Scrutiny” miało opinię przedsięwzięcia nielegalnego — na pokolenia studentów Cambridge z subkontynentu indyjskiego, którzy obecnie tworzą rządzącą elitę Indii i Pakistanu. Jak można zmierzyć skutki takiego wpływu? I kto ośmieli się nazwać go nieistotnym?

Dowiodłem tu dość szczegółowo, że „Scrutiny” miało platformę programową, obejmującą przekonania i założenia, które umożliwiły nam, stałemu ośrodkowi kierownicemu, wytrzymanie ostracyzmu i kontynuowa-

nie wysiłków nagradzanych karami (doprawdy, nie przyniosło nam to żadnych „światowych” korzyści). Było to stanowisko przemyślane, pogłębione, rozważone pod każdym względem i we wszystkich jego konsekwencjach i choć nie lubiliśmy wyrazu „filozofia” — stanowisko nadające się do formułowania i rozwijania z precyzją i subtelnością (jak również popierania konkretnymi przykładami), przez co mogło właściwie w zwykłym i uznawanym znaczeniu być słusznie nazwane naszą filozofią. Jeżeli reprezentatywne jej przedstawienie może być dokonane w rozważaniach koncentrujących się wokół koncepcji uniwersytetu (co nie będzie nadużyciem ani paradoksem), można powołać się na moją książkę *Education and the University: A Sketch of an English School* (1943), której zamysł był w ścisłym związku z prowadzeniem „Scrutiny” i która w większości była wydrukowana w tym periodyku. Jest chyba rzeczą doniosłą, że ta książeczka zawiera odpowiedź, którą dałbym neowellsjanizmowi C. P. Snowa — temu znamienemu zjawisku dzisiejszych czasów.

Choć czasopismo, które nie płaci swoim współpracownikom i zespołowi, nie spełnia swoich wszystkich funkcji, to „Scrutiny” z tego braku uczyniło swoją siłę. I choć wiele mówiłem o większym oddziaływaniu, jakie mogłoby mieć pismo, gdyby wrogość środowiska akademickiego i literackiego nie była tak wielka i zawzięta, to jednak nasza pozycja banitów była korzystna dla utrzymywania poziomu; mniej trapiły nas obawy przed krytyką, wynikające z jakiegokolwiek przynależności (choć trudno — biorąc pod uwagę miłość własną ambitnych czy słynnych intelektualistów — żeby lekko im przychodziło znosić ewentualność, iż nadesłane przez nich maszynopisy zostaną uznane za nie nadające się do druku). Chcąc tutaj uwydatnić doniosłość naszego przedsięwzięcia dla prób dalszej działalności krytycznej, uważałem za właściwe tak wymownie podkreślić, że każda tego rodzaju próba, jeżeli podjęta bywa serio, musi wzbudzać niechęć i wrogość w kołach literackich i akademickich. Ta prawda jest truizmem, ale skoro „Scrutiny” stało się jednym z faktów uznanej historii literatury, słyszało się ze strony środowiska akademickiego o zamiarach skorzystania z przykładu i pokazania, że osiągalne jest powtórzenie zalet „Scrutiny” (przyznawano bowiem temu pismu pewne zalety; można powiedzieć, że nie dało się tego uniknąć wobec jego ogromnych zasług w powstawaniu książek, co było nie do zaprzeczenia, ale bez jego wad, do których zaliczano „ciasnotę” poglądów, skłonność do krytyki „negatywnej”, napastliwość, krótko mówiąc, wszystkie cechy brzmiące „alarmująco” (wyraz rzeczywiście użyty<sup>9</sup> przez jedną z

<sup>9</sup> „Scrutiny« jest alarmujące”. Było to w połowie lat trzydziestych, kiedy my, inspiratorzy tego pisma, związani zarazem trwale z Cambridge, bez pozycji społecznej, prywatnego majątku, stanowisk i dochodów, zostaliśmy drogą postępowania, które można nazwać bezwzględnym ostracyzmem, pozbawieni (mogłoby się zdawać) wszelkich możliwości zagrożenia komukolwiek.

znakomitości Cambridge, której nazwisko służy teraz na rynku książkowym za sprawdzian szerokości poglądów i krytyki pozytywnej) dla intelektualistów, indywidualności i powag opierających swój uznany prestiż na zabezpieczonym instytucjonalnie konwencjonalnym wartościowaniu, groźnych sankcjach i niezawodnej walucie obiegowej.

Jednakże nawet krytyka „pozytywna”, gdy wyzywająco i nieodwołalnie proponuje nowe wartościowanie, wywołuje urazy i jest przyjmowana z niechęcią, a jej negatywne konkluzje (żadna zaś krytyka nie może się bez nich obejść) będą odbierane niechętnie przez przeciętnego czytelnika: stawiając pod znakiem zapytania jego sądy, krytyka zadaje cios jego poczuciu wyższości płynącemu z wykształcenia i może zdawać się wyrządzać dotkliwie krzywdy jego osobowości. A autentyczna próba działalności krytycznej w czasopiśmie musi w sposób nieuchronny dopuszczać krytykę w znacznej mierze „negatywną” nie tylko w konkluzjach. Któż jednak dzisiaj, przeglądając ten zestaw tomów, stanowiących owoc trwałej, jednoczącej współpracy, i biorąc pod uwagę oryginalność krytyki, jej naturę i wpływ oraz znaczenie sporego zespołu niepłatnych współpracowników i jeszcze większej grupy recenzentów, któż mógłby utrzymywać, że dzieło i dokonania „Scrutiny” nie były twórcze?

Co do wrogości, z jaką się spotykały, to należy ona do najistotniejszych pojęć, które chce wyjaśnić. W środowiskach, gdzie wrogość bywa naturalną reakcją na wypowiedzi krytyczne, utarł się zwyczaj łagodzenia przeszłych rozbieżności w sytuacjach, w których oceny wydawane przez „Scrutiny” zostały ogólnie uznane za słuszne, samo zaś pismo za fakt historyczny, a także zwyczaj odrzucania jakichkolwiek tendencji do wydobywania wywrotowych nauk z historii. Wiązało się to z negacją wszelkich wzmianek o wrogości jako przejawu manii prześladowczej.

O ile chodzi o środowisko akademickie, to powiem tylko, że kto chce poznać prawdę, może bez szczególnej dociekliwości łatwo zebrać bezsporne dowody o niedwuznacznej wymowie, dostatecznie ujawniające taktykę wyraźnej i pospolitej nieuczciwości. A można odwołać się do czegoś o wiele więcej niż te zespoły jawnych, oficjalnych faktów — i to kiedyś zostanie niewątpliwie zrobione.

Co do stanowiska środowiska literackiego — można z wielkim pożytkiem dokonać pewnych poszukiwań; dadzą one pouczający i wymowny „przyczynek do wiedzy” tego rodzaju, który według kryteriów English School powinien uzyskać wysoką ocenę. Badacz znajdzie wskazówki — aby wymienić jedno z wielu miejsc w „Scrutiny”, które skierują go we właściwy sposób — w notatce na s. 224 tomu XVIII, pt. *Mr Pryce-Jones, The British Council and British Culture*. Skierowawszy w ten sposób swoje zainteresowanie na literaturę związaną z British Council, odkryje rzeczy, które niezależnie od jego nastawienia muszą go zdumieć i przerazić (jeżeli w takich miejscach i pod taką firmą spodziewałby się raczej

ostrożnej troski o przyzwoitość i roztropność) nawet przez to, że światło, jakie rzucają, idzie w parze z oślepieniem. Znajdzie tam konsekwentne i niewątpliwe *parti pris* wobec „Scrutiny”, niechęć do zapewnienia temu pismu jakiegokolwiek rozgłosu ponad to, czego nie można było uniknąć, czy do przedstawiania go, gdy nie było już innego wyjścia, jako czegoś poświęconego wyłącznie „zimnej” analizie oraz „systematycznemu i bezkompromisowemu niszczeniu opinii” przez „przesadnie krytyczną, niby to elitarną garstkę krytyków”. Całą tę postawę najlepiej określi cytat z powołanej notatki:

Przed trzema laty inna publikacja British Council, *Prose Literature since 1939* (autorstwa Johna Haywarda) wywołała następujący komentarz w „Scrutiny”:

„Przesadnie krytyczne» jest z pewnością dowodzić (choć Amerykanie i obcokrajowcy, jak wiadomo piszącemu te słowa, tak mówili), że nie ma nic bardziej szkodliwego dla prestiżu i oddziaływania literatury angielskiej niż przedstawienie przez p. Haywarda stołecznego środowiska literackiego i zbliżonych do niego kręgów uniwersyteckich jako wybitnych i znakomych zjawisk współczesnej Anglii”.

Któż może wątpić, że ujawnia to wyraźnie, w jakim kierunku musi w rezultacie nieuchronnie działać takie popieranie zamierzeń kulturalnych przez pomoce szkolne i wydawnictwa opatrywane etykietką „na polecenie British Council”? Lektura broszury, która zawiera artykuł p. Pryce-Jonesa, nie doprowadzi do innych wniosków. Oceny, zasady moralne i kryteria głoszone w tygodnikach, niedzielnych wydaniach gazet i w BBC są popierane przez British Council (finansowaną z publicznych funduszy) za pomocą dalszych jeszcze środków narzucania swojego znaczenia i z pomocą pewnego rodzaju instytucjonalnego autorytetu.

Autorytet ten, wraz z ogromną organizacją, której służył, mieliśmy stale przeciwko sobie. Warto tu zwrócić uwagę na to, czego przyszły badacz dowie się z cytowanej notatki z tomu XVIII, a mianowicie, że pan Pryce-Jones, który był współautorem broszurki *British Council The Year's Work in Literature 1950*, był jednocześnie redaktorem „The Times Literary Supplement”. Mogę również powiedzieć owemu badaczowi, że na temat „częstych sposobności”, o których mowa w notatce (s. 228, akapit pierwszy), miałem długą korespondencję z redaktorem „The Times Literary Supplement”, gdzie w numerze z 25 VIII 1950 ukazał się 44-stronicowy przegląd pt. *Critical and Descriptive Survey of British Writing for Readers Overseas*. Dokonany tam, skądinąd bardzo wyczerpujący, przegląd periodyków literackich nie zawierał ani jednej wzmianki o „Scrutiny”. Mój pierwszy list do redaktora zaczynał się, jak następuje:

Wyznaję, że uważając wykluczenie „Scrutiny” spośród periodyków literackich w pańskim przeglądzie współczesnego angielskiego piśmiennictwa dla czytelników zagranicznych za znajomy rodzaj dyskryminacji, przeciwko której z reguły nie ma sensu się bronić (choćby świadectwo osób trzecich to inna sprawa), miałem zamiar nie zabierać głosu.



Stwierdzam jednak, że pisałem, ponieważ redaktor uważał za stosowne usprawiedliwiać się wobec protestu osoby trzeciej, której list nawet wydrukował. Niedostateczna i obraźliwa odpowiedź redaktora na mój list (którego nie wydrukował) zmusiła mnie do repliki; proces replikowania powtarzał się jeszcze w dalszym ciągu. Z korespondencją tą, choć nie znajdziemy jej w aktach „The Times Literary Supplement”, można się zapoznać (niechaj badacz to zapamięta) w London Library, gdzie są przechowywane kopie (pod nagłówkiem *Virtue in Our Time* — tytuł zapożyczony z prelekcji radiowej wygłoszonej przez mojego adwersarza).

W ten sposób badanie zostanie skierowane na tomy „The Times Literary Supplement” i jeśli będzie prowadzone, da wyniki, jak przypuszczam, nieco zaskakujące, ponieważ nie znajdzie się tam ani jednego mojego listu w numerach następujących po „częstej sposobności”. Ten rodzaj dyskryminacji „Scrutiny” na łamach „The Times Literary Supplement”, dokonanej z pozorami instytucjonalnej bezstronności, może wydać się badaczowi bardziej interesujący i niepokojący niż całe dwadzieścia lat wrogości mniej dyskretnie wyrażanej w „The New Statesman and Nation”, które to pismo można uważać za czołowy w tym okresie organ modnego londyńskiego świata literackiego. Jeżeli jednak [badacz] weźmie pod uwagę całość polityki redaktora literackiego, a zwłaszcza powstrzymywanie się od recenzji w wypadkach książek związanych ze „Scrutiny”, przemilczanie (niech np. zwróci uwagę na spisy zapowiedzi wydawniczych), zwyczaj pogardliwych wzmianek w recenzjach oraz analogiczny zwyczaj używania dowcipów w polemikach, na pewno dojdzie do wniosku, że również obyczaje „The New Statesman and Nation” (co potwierdził niedawno w „The Guardian” R. H. S. Crossman nie będący nigdy członkiem grupy „Scrutiny”) są czymś znaczącym. Badacz musiałby też przejrzeć „The Criterion”; nie wiem, czy natrafiłby tam na choćby jedną wzmiankę o „Scrutiny” — co nie znaczy, że nie poczyni tam sporej ilości doniosłych obserwacji.

Chodziło mi o przedstawienie całej doniosłości istnienia „Scrutiny” przez dwadzieścia lat. Niewątpliwie spotykało się ono z atakami z różnych miejsc; wzięte razem ataki te mogły uchodzić za wyraz ogólnej opinii. Mam wrażenie, że przedstawiłem to w sposób niewątpliwy i z pewnością dalsze dociekania pomnożyłyby tylko materiał dowodowy. Jednakże ogólnie biorąc (mam chyba prawo to stwierdzić) bilans wygląda korzystnie. Powodzenie naszych usiłowań utrzymania „Scrutiny” dowiodło poczucia konieczności takiego rozwoju naszej kultury, w którym nie byłoby tolerancji dla wymienionych poprzednio przejawów współczesnej cywilizacji. Mówię to z myślą o przyszłych przedsięwzięciach i o możliwościach, jakie by istniały (nie warto byłoby bowiem pisać tego artykułu, gdyby nie

miał być zachętą). Powinienem więc jeszcze odpowiedzieć na pytanie (jakże często mi stawiane!): Dlaczego „Scrutiny” przestało wychodzić?

Przyczyną nie była niemożność utrzymania czytelników ani za małą sprzedaż, aby opłacić koszty druku. Pismo się rozchodziło i rozchodziłoby się w ilości przynajmniej dwukrotnie większej niż nakład. W latach trzydziestych drukowaliśmy 750 egzemplarzy, z czego dużą część otrzymywali prenumeratorzy, a reszta szła do sprzedaży zwyczajnym trybem. Liczba ta niewiele mówi o rzeczywistej ilości czytelników, wiele bowiem egzemplarzy — łącznie z prenumerowanymi — trafiało do uczęszczanych miejsc i przechodziło przez wiele rąk w wyższych klasach szkół średnich i na uniwersytetach całego świata. Zapotrzebowanie zaczęło znacznie rosnąć w czasie wojny i stanęliśmy wówczas wobec ironii losu, gdyż bardzo surowe racjonowanie papieru zahamowało jakikolwiek wzrost nakładu; musieliśmy nawet toczyć boje o utrzymanie stałego nakładu bez drastycznego ograniczania ilości stron i ratowania się stłoczeniem kolumny druku. Ograniczenia papierowe przetrwały, jak wiemy, wojnę, ale w 1950 r. mogliśmy już podnieść nakład do 1500. Zupełnie inne następstwa wojny przerwały istnienie pisma.

Wraz z początkiem mobilizacji, która poprzedziła wypowiedzenie wojny, w naszym zespole powstały dotkliwe luki. W miarę trwania wojny trudności zwiększały się z każdym numerem i z niepokojem zastanawialiśmy się za każdym razem, jak przygotować następny, ponieważ zgromadzenie odpowiedniego zespołu wydawało się niemożliwe. Mimo to kolejne zeszyty ukazywały się jednak, kosztem wielkiego napięcia nerwowego ze strony nielicznego stałego zespołu, co być może odcyfruje przyszły badacz tomów z tych lat. Trudności trwały jeszcze długo po zakończeniu wojny, albowiem przez ten okres nie wprowadzaliśmy do współpracy i nie szkoliliśmy nowicjuszy, co w czasie pokoju umożliwiałoby nam Cambridge. A dawni współpracownicy powracający z wojny, świadomi straconego czasu, łączywie chwytali się jakichś zajęć i zdobywali doświadczenie zawodowe, często żenili się i nie mieli na ogół czasu na koncentrację niezbędną w pracy dla „Scrutiny”. Walka o utrzymanie czasopisma stała się rozpaczliwa, spoczywała w większym niż dotychczas stopniu na barkach inicjatora (który, grubo po pięćdziesiątce, otrzymał wreszcie w latach powojennych stanowisko wykładowcy uniwersyteckiego), i decyzja zawieszenia pisma nastąpiła nagle. Przyspieszył ją szereg niepowodzeń: kilku współpracowników, na których liczyliśmy, kolejno odmówiło dotrzymania zobowiązań. Stało się jasne, że jeżeli nie zakończymy na bieżącym tomie, popadniemy w coraz bardziej rosnące opóźnienia. Zatem postanowiliśmy zakończyć. Redaktor piszący te słowa był przez następne miesiące zasypywany lawiną listów z protestami i pytaniami, wyrazami uznania i wdzięczności od czytelników z całego świata zajmują-

cych czołowe pozycje w szkołach wyższych, badaniach literackich i kulturalnych, a także od pisarzy i krytyków. Jednakże nie odezwał się ani jeden głos ze strony anglistycznych sfer miarodajnych — z Cambridge czy innych miejsc. A „The Times” odmówił wydrukowania wspomnienia o „Scrutiny” pióra prof. Henri Fluchère’a, dyrektora Maison Française w Oksfordzie. Jednakże wybitny wojskowy stojący na czele British Council przysłał nam kilka słów zdawkowych kondolencji w nadziei przekonania nas, że instytucja ta zawsze robiła, co mogła, dla „Scrutiny”, i zakończył swój list słowami: „Jestem przekonany, że wkrótce zaczniecie wydawać następne pismo”.

W ciągu dalszego dziesięciolecia zmieniła się sytuacja tych, którzy mogliby pomyśleć o przedsięwzięciu w tym samym duchu, poświęconym tym samym celom. Gdybym był (a nie wchodziło to w rachubę) inicjatorem takiego pisma, mógłbym wskazać więcej niż garstkę potencjalnych współpracowników, którzy pisaliby po likwidacji „Scrutiny”. Jeżeli jednak wyjdę poza to cząstkowe (choć nie pozbawione znaczenia) spostrzeżenie i popatrzę na całą rzeczywistość literacką — nie będę mógł doszukać się w obecnej produkcji (że tak nazwę to, co musi uchodzić za krytykę literacką) nic bardziej pocieszającego niż dawniej. Recenzowanie (jeszcze ściślej obecnie zdominowane przez potęgę radia i telewizji) jest nawet bardziej niż dawniej opanowane przez kliki, modę i koniunkturę i w mniejszym stopniu powstrzymywane w swej gonitwie za celami pozakrytycznymi przez wiedzę i wykształcenie czy świadomość publiczności słuchającej i czytającej. Porównanie współczesnych niedzielnych wydań dzienników z wydaniem sprzed dziesięciu lat ujawni znamienne różnice, która polega na tym, że korzystając ze znacznie większych wydatków „klasy wykształconej” na kulturę (nakłady pism znacznie wzrosły) właściwie porzucono — choć nadal drukuje się jakieś recenzje — chęć wywołania czegoś, co można by nazwać zainteresowaniem krytycznym. Takiego zainteresowania [redaktorzy tych dzienników] nie oczekują ani nie żądają od jakiegokolwiek części swoich czytelników. Otwarcie przyznają, że ich funkcją jest dziś dostarczanie miłej rozrywki i sposobu spędzenia czasu, a w rezultacie oferują klientowi zasadniczą lekturę na cały tydzień.

Można w tym miejscu powiedzieć, że pisma, które muszą rozprzedać milionowy nakład, aby utrzymać się przy życiu, nie mogą być inne. Zmierzam tu jednak do wskazania, że to, co znajdujemy w działach recenzyjnych tygodników intelektualnych, jest w istocie na poziomie kultury dodatków niedzielnych. Ta kultura dodatków niedzielnych coraz bardziej przeważa na wyższych latach studiów uniwersyteckich, co ostatnio zostało zdumiewająco zademonstrowane w Cambridge. Ujednolicenie należy do istoty tych nowych procesów, które sprawiły, że Sir Charles Snow stał się wyrocznią w kwestiach naszej kultury, a jego *Rede Lecture* —

klasyką naszych szkół. Jedno oblicze tej groźby polega na tym, że świat wielkich nakładów i rosnących i mnożących się uniwersytetów jest, jeśli chodzi o sprawy doniosłe, bez znaczenia, choć w swych efektach bardzo rozległy. Popularni wykładowcy uważani za wybitnych intelektualistów są wydajnymi dziennikarzami, utrwalają swoje nazwiska i autorytety przez częste występy w radiu i telewizji i wraz z innymi wykonawcami tego zawodu tworzą to, co Sir Charles Snow nazywa „kulturą”, niezależnie od tego, czy roszczą sobie pretensje do jakiejś pozycji akademickiej; normy, którym się podporządkowują, służą im oczywiście tylko do zapewnienia sobie bezpiecznego statusu wybitnych intelektualistów. Jest bardzo trudno wystąpić skutecznie przeciwko takiej „kulturze” — do jakiegoż bowiem zjawiska zewnętrznego wobec niej i przekraczającego ją można by się odwołać i w jaki sposób? Purytanin lub człowiek nieprzejednany, chcący zakwestionować jej poziom, wzbudzi przeciwko sobie niezwykle pomysłową i całkowicie bezwzględną wrogość rozległego systemu, który chcąc panować nad całym tym procesem, dysponuje wszelkimi organami i kanałami propagandy, przekonywania i wpływu, i który dostarcza „wykształcenia” określającego granice uczoneści, skalę wartości i założenia krytyczne większości tego typu wykładowców. (Niemal już dodałem tu zwrot zastrzegający: „poza ich specjalnością”, i byłbym oczywiście dobrze zrozumiany, przypomniałem sobie jednak historyka z Cambridge, który napisał do „The Spectator” pochwałę rzetelności książki Snowa o rewolucji przemysłowej.)

Jednak z drugiej strony „Scrutiny” czegoś dokonało i, co więcej, fakt ten jest ogólnie znany — znany w świecie tygodników i dodatków niedzielnych. Tak należy rozumieć liczne oznaki niepewności, nieuzasadnionych posunięć i obsesyjne aluzje do „mnożących się następców”. „Czują się zagrożeni”, powiedział mi niedawno bystry obserwator tego świata, stołecznego świata literackiego. Uświadamiają sobie w każdym razie, że ich status intelektualistów jest ironicznie podawany w wątpliwość, że decydująca część czytelników, ta, która wywiera jakby terroryzujący wpływ poprzez uniwersytety i szkoły i tworzy na dłuższą metę liczące się opinie, uważa ich pretensje za śmieszne. Na razie jest to raczej możliwość dająca się silnie odczuwać i zagrażająca niż w pełni to, co „publiczność” w tej sytuacji mogłaby narzucać. Bez organu krytycznego bowiem brak jej tej dającej pewność świadomości, że istnieje i że działa jako publiczność stanowiąca społeczność świadomą i odpowiedzialną. Te dopiero cechy formują publiczność, a bez niej nie ma do czego odwoływać się krytyk nawet dysponujący odpowiednimi kanałami. Powołanie tej opinii do pełnego życia miałyby skutki nieproporcjonalne do liczebności tych, którzy ją wyznają.

Z całą pewnością można tego dokonać — mówię to z przeświadczeniem

plynącym z bogatej praktyki zyskanej przy wydawaniu „Scrutiny”. Nie uważam, aby należało wznowić to pismo. Jest to niemożliwe. Okoliczności są już inne — choćby ta, którą przypominałem: że założyciele „Scrutiny” byli wolnymi strzelcami bez stałego płatnego zajęcia; trudno sobie wyobrazić, żeby tego rodzaju przedsięwzięcie mogło dziś się narodzić i istnieć dzięki banitom pozostającym w takiej sytuacji. Mówiłem jednak dość szeroko o tym, jak powzięliśmy naszą ideę, uwzględniając czas, miejsce i okoliczności. Zamiar powzięty ponownie i realizowany w tym samym duchu musiały być pod wieloma względami odmienny. Niemniej przeto „Scrutiny” stanowi trwałą i silny dowód, że czegoś takiego dokonano i że można tego dokonać z powodzeniem osiągniętym poprzez konsekwentną surowość kryteriów i bezkompromisową służbę wytkniętym celom. Mówiłem już, że dzięki istnieniu i powszechnie znanemu sukcesowi „Scrutiny” — sytuacja jest pod pewnymi względami korzystniejsza dla naszych następców. Nowa próba sił, jeżeli będzie rzetelna i śmiała, może przyciągnąć stosunkowo dużą liczbę czytelników, co pozwoliłoby nawet na opłacenie współpracowników. Chciałbym jednak zakończyć spostrzeżeniem, że choćby mała garstka odbiorców może, gdy idzie o sprawy takie, o jakich mówiłem w niniejszym wstępie, wywierać wpływy niewspółmierne do swojej liczby. „Scrutiny” to udowodniło.

Sierpień 1962

Przełożył *Ignacy Sieradzki*